

Koźniewski, Kazimierz

O dziennikarzach i publicystach polskich XX wieku

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 32/4, 109-113

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

KAZIMIERZ KOŹNIEWSKI (Warszawa)

O DZIENNIKARZACH I PUBLICYSTACH POLSKICH XX WIEKU

Z ogromnym zainteresowaniem przeczytałem numer 3 — 4, XXXI rocznika „Kwartalnika Historii Prasy Polskiej” (1992), zawierający kilkadziesiąt biografii dziennikarzy i publicystów polskich XX wieku. Wiele szkiców biograficznych (pióra Garlickiej, Fuchsa, Myślińskiego, Nałęcz, Władyki) jest bardzo ciekawych. Dowiedziałem się z nich bardzo dużo. Ale też znalazły się i takie, które sprowokowały mój sprzeciw — brakiem istotnych informacji lub też zwyczajnymi błędami, których w tego rodzaju pracy, sygnowanej przez Pracownię Historii Czasopiśmiennictwa IBL, być nie powinno.

Str. 116. Być może, że po latach Słonimski wspominał Adolfa Nowaczyńskiego z „dużym sentymentem” — po latach rozmaicie się łagodzą nasze personalne konflikty. Ale jeżeli już się pisze o współpracy Nowaczyńskiego z „Wiadomościami Literackimi” — a trzeba to robić, gdyż współpraca, choć dorywcza, z pismem Grydzewskiego była zaskoczeniem dla wielu czytelników „W.L.” — to należy napisać, że właśnie Słonimski w felietonach swoich Nowaczyńskiego traktował niebywale ostro. Ostatecznie to on napisał owe, potem aż przysłowio-we w ówczesnej publicystyce: *Rudy, do budy!* To było bardzo brutalne! A po latach kilkadziesiąt Słonimski, który w swojej publicystyce czasem był aż niewybrednie brutalny (owe „żarty” z nazwiskami!), tym właśnie „Rudy, do budy”! bardzo się i słusznie chwalił! Po cóż łagodzić dzisiaj ową brutalność ówczesne publicystyki? Kiedy Cat-Mackiewicz w czerwcu 1956 r. wrócił do Warszawy, głośno wyraził zdziwienie, że język publicystyczny sporów połowy lat pięćdziesiątych jest tak łagodny w porównaniu z latami międzywojennymi. Język był łagodny w porównaniu z latami międzywojennymi. Język był łagodny, brutalne było coś innego!

Czytając szkic pani Darii Nałęcz o Adamie Skwarczyńskim (str. 117), jak to Skwarczyński głosił postulat zerwania z Watykanem i stworzenia polskiego kościoła narodowego, nie sposób nie przypomnieć (ale uwaga ta nie jest żadną pretensją wobec autorki, to tylko taka moja dywagacja), że identyczny postulat w lutym 1941, w londyńskich „Wiadomościach Polskich”, sformułował Zygmunt Nowakowski, tak bardzo krytycznie współ z całym „polskim Londynem” oceniający ówczesne stosunki Watykanu i papieża z hitlerowskimi Niemcami.

Wiesław Władyka, którego publicystykę tak wysoko cenię, zaskoczył mnie (str. 160 — 161), w szkicu o Stanisławie Strońskim, brakiem tak bardzo charakterystycznej i ciekawej, a tak istotnej dla życiorysu Strońskiego, informacji, że

gdy w Sejmie — przez zaskoczenie, pod nieobecność posłów z opozycji — uchwalono od razu w „pierwszym czytaniu” przysłałą kwietniową Konstytucję, to właśnie Stroński był jedynym opozycyjnym posłem, który z trybuny sejmowej zgłosił protest przeciwko i tej Konstytucji, i tej procedurze uchwalania. To jednak powinno się znaleźć w takim artykule! Notabene — nie wiem, ile w tym było prawdy — szeroko wówczas w Warszawie mówiono, że Stroński dlatego opuścił Stronnictwo Narodowe, żeby po śmierci Bolesława Koskowskiego (Życiorysu Bolesława Koskowskiego brak mi w tym tomie „Kwartalnika”!) móc objąć stawią wstępniak polityczny w „Kurierze Warszawskim”, jako że Olchowicz stałby jeden zasadniczy warunek: czołowy publicysta „Kur-wara” musiał być apartyjny. Natomiast informacja o tym, że w paryskim gabinecie ministra Stanisława Strońskiego, w maju 1940 roku, w czasie rozmowy z ministrem — publicysta poczuł, że coś go śwędzi na szyi, sięgnął tam palcami i... złapał pierwszą swoją w życiu wesz, przywiezioną pewnie z Cöetquidanu, oczywiście już nie należy do biografii Strońskieo, tylko do biografii Koźniewskiego...

Sądzę (str. 191), że nie wystarczy napisać, iż w 1938 r. (to była jesień) rozstali się z pismem, z „Prosto z mostu”, Andrzejewski, Irzykowski, Miciński z powodu brutalizacji redakcyjnego stosunku do Żydów — ale należało napisać dokładniej: był to tych właśnie pisarzy sprzeciw wobec istnego chamstwa, jakim Stanisław Piasecki zareagował na fakt przymusowego usunięcia do Polski z hitlerowskich Niemiec dużej grupy Żydów, obywateli RP, mieszkających lata całe w Niemczech. Zresztą wśród tych, którzy wtedy w proteście opuścili „Prosto z mostu”, był również i Waldorff, choć to on właśnie w parę miesięcy później, w lecie 1939, tak strasznie brutalnie i antysemicko zaatakował w „Kurierze Porannym” Antoniego Słonimskiego.

Z sentymentalnym rozczuleniem przeczytałem szkic pani Nałęcz o Józefie Wasowskim. Mój Boże! Toż to on właśnie, gdy matka moja rozmawiając z nim w wakacyjnym pensjonacie, radziła się, co winna robić z synem, jeszcze gimnazjalistą, który rwie się do pisania w prasie, przestrzegając: „Boże broń na dziennikarkę! Niech syn kończy studia normalnie, a nie żadne tam studia dziennikarskie! Boże broń na dziennikarkę!” I miał rację! Ale to oczywiście znów nie jest fragment życiorysu Wasowskiego, tylko Koźniewskiego...

Generalnie nie odpowiada mi sposób i ton, w jakim p. Janusz Rudziński napisał o Osmańczyku. Nie wystarczy informacja, że Osmańczyk karierę dziennikarską rozpoczął w gazetce szkolnej, w „Wiadomościach Bielańskich” (kto tam dzisiaj wie, że na Bielanach było pewne katolickie gimnazjum!), trzeba napisać zupełnie wyraźnie: Osmańczyk był tym, raczej wyjątkowym młodym chłopcem, którego z Opola, wtedy niemieckiego, gdzie mieszkała jego rodzina, wysłano do gimnazjum w Warszawie, do gimnazjum sławnego i mającego pewną markę. To był ewenement i sądzą, że właśnie nauka w gimnazjum warszawskim zadecydowała, że po paru latach Osmańczyk tak gładko i doskonale włączył się do polskiej publicystyki. Należało napisać znacznie bardziej dokładnie i wnikliwie o roli Osmańczyka w powojennym integrowaniu się naszej inteligencji z nowym ustrojem. *Sprawy Polaków* odegrały tutaj kolosalną rolę! Dlaczego p. Rudziński tak jakoś półgębkiem informuje o roli Osmańczyka w publicystyce polskiej lat pięćdziesiątych?! Po powrocie Osmańczyka z Berlina właśnie jego książki tworzyły pierwszy publicystyczny, bardzo pozytywny, obraz NRD, prze-

znaczony dla polskiego czytelnika. Wtedy Osmańczyk — o czym pan Rudziński milczy — zostaje również redaktorem naczelnym (raczej mało fortunnym) „Szpilek” — i była to wyraźnie nominacja polityczna! Nominacja redaktora naczelnego spoza kręgu „Szpilek”, spoza kręgu warszawskich ówczesnych tzw. satyryków. Osmańczyk miał politycznie ustawić to pismo, wtedy odgrywające pewną rolę propagandową. Dlaczego p. Rudziński tak mało napisał o paroletnim pobycie Osmańczyka na amerykańskiej półkuli. Ówczesne, stamtąd przysyłane korespondencje miały swoją wagę. Tak jak miała wagę — w życiu Osmańczyka — katastrofa samochodowa w Meksyku, z której z trudem się wylizał, po długim leżeniu w szpitalu — to ona przecież w istotny sposób przestawiła aktywność pisarską Osmańczyka — z korespondenta zagranicznego na autora politycznych encyklopedii. Encyklopedie już można było pisać w domu! Dlaczego p. Rudziński całkowicie przemilcza fakt, że Osmańczyk, wróciwszy jako poseł do Sejmu, był w latach siedemdziesiątych nie mniej nie więcej tylko członkiem Rady Państwa, a było to stanowisko wymagające daleko posuniętej akceptacji panującego porządku politycznego. I że dopiero dość nieeleganckie, zaoczne odwołanie Osmańczyka z tej funkcji — osobliwie brutalna decyzja bodaj samego Gierka, aby zrobić miejsce dla Bolesława Piaseckiego — spowodowało określoną reakcję Osmańczyka, która wkrótce potem, w roku 1980, doprowadziła do jego pełnego już związku z „solidarnościową” opozycją. Rada Państwa to bardzo istotny fakt w życiu Osmańczyka. I o tym ani słowa!

Rada Państwa w ogóle jakoś została zlekceważona w tym numerze „Kwartalnika”. Następny szkic, który budzi moje daleko idące zastrzeżenia, biografia Bolesława Piaseckiego, napisana przez p. Urszulę Jakubowską, również całkowicie przemilcza, że pod koniec swego życia politycznego i biologicznego Piasecki był członkiem Rady Państwa PRL. I że to był szczyt jego kariery państwowej. Ale do artykułu p. Jakubowskiej jeszcze i inne pretensje; abstrahują od zdziwienia, że w ogóle B. Piasecki znalazł się wśród publicystów — był on przede wszystkim politykiem, który publicystyką parał się doraźnie.

Nie można pisać o współpracy Piaseckiego, „Falangi”, z obozem zjednoczenia narodowego płk. Adama Koca w ten sposób, jakby to Piasecki stanął na czele „masowej organizacji młodzieży obozu rządzącego”, owego ZMP, Związku Młodej Polski. Rzecz była bardziej zawiła. Na czele ZMP (w żadnym wypadku nie była to organizacja masowa, to był mierny margines ówczesnego ruchu młodzieżowego) stanął Jerzy Rutkowski, człowiek (młody człowiek) Piaseckiego, ale jednak nie Piasecki! Piasecki inspirował i obserwował z boku. Sam Rutkowski to postać ciekawa — potem w czasie okupacji niezwykle zasłużony kierownik tajnych drukarni akowskiego BIP-u. Po wojnie znowu współdziałający z Piaseckim, organizator handlowego INCO. Piasecki stał z boku, na czele „Falangi” — i tylko marzył o udziale w rządowej władzy... Notabene: nie można pisać, że nowym szefem OZN został w 1938 r. gen. Adam Skwarczyński, jeżeli się sto stron wcześniej, w tym samym „Kwartalniku”, wydrukowało, prawdziwie, że Adam Skwarczyński umarł w 1934 roku! Szefem OZN był generał Stanisław Skwarczyński!

Pani Jakubowska ma dość oryginalny styl pisanie o czasie hitlerowskiej okupacji. „Niebawem znalazł się na Pawiaku”. Czyli, mówiąc mniej elegancko a bardziej prawdziwie: został zaaresztowany i uwięziony. Notabene Piasecki — znów taka ironia losów — siedział w celi więzienia hitlerowskiego razem z... Frydery-

kiem Jarosym; tych dwu jeszcze niedawno dzieliło wszystko! Nie można napisać, że po paromiesięcznym więzieniu Piasecki został zwolniony — nie podając charakterystycznych powodów tego zwolnienia. Była to interwencja z Rzymu, z kół najbardziej wysokiej hierarchii faszystowskiej i rządowej, ludzi związanych z Mussolinim. I wolny Piasecki z miejsca zaczął się ukrywać nie dlatego, że był jakiś wyrok sądu niemieckiego (gdyby był ten wyrok, to by go nie uwolnili — takie komedyjki się rozgrywają dzisiaj, a nie wtedy — *vide*: sprawa Honckera), ale dlatego że zaraz zaczął organizować swoją własną organizację konspiracyjną. Która zresztą nie „zyskała poparcia grupy twórców skupionych wokół pisma »Sztuka i Naród«”, tylko po prostu Piasecki i Włodzimierz Pietrzak, jego bliski współpracownik i przyjaciel, spośród młodych członków „Konfederacji Narodu” — wojennej „Falangi” — założyli grupę artystyczną oraz jej pismo tajne o charakterze literackim — pismo to dopiero potem oddziaływało na paru młodych pisarzy spoza ideowego kręgu „Konfederacji”. Nie wolno pisać o całym wydarzeniu, jakim było aresztowanie i pobyt w więzieniu (areszcie) Piaseckiego od listopada 1944, bez wyraźnego przedstawienia, jak to się stało, że Piasecki po paru miesiącach wychodząc z tego więzienia zdobył sobie ów kredyt zaufania nowych władz! Trzeba napisać o rozmowach z wysokimi funkcjonariuszami radzieckimi i z działaczami komunistycznymi polskimi (m.in. z Jerzym Borejszą). Trzeba wyraźnie napisać, że w ich rezultacie Piasecki, nie stając się żadnym agentem bezpieczeństwa *sensu stricto*, zdecydował się, przekonany politycznie a równocześnie podniecony szansą uczestnictwa w nowej rzeczywistości, na współudział — i to poprzez *sui generis* dywersyjne organizowanie właśnie katolików! — w tworzeniu Polski komunistycznej. Co zresztą — to też trzeba napisać — miało pewne korzenie w przedwojennym programie „Falangi”, głoszącym potrzebę organizowania przez państwo bezpieczeństwa socjalnego obywateli. Piasecki — to też trzeba napisać wyraźnie — chciał uczestniczyć we władzy rządowej, do tego zawsze dążył, ale to mu się w końcu tak naprawdę — mimo udziału w Radzie Państwa — nie udało! Cały szkic o Bolesławie Piaseckim jest dziwnie niepełny i jakby dość enigmatyczny.

Równie poważne zastrzeżenia budzi szkic p. Habielskiego o Wańkowiczu. Pełno w nim „niedoinformowań”. Dlaczego nie zostały wymienione tytuły pierwszych książek Wańkowicza? Te książki, np. *Szpital w Cichiniczach*, były istotne i ciekawe. Dlaczego relacja o twórczości Wańkowicza w Rumunii, w latach 1939 i 1940, jest taka niepełna. *Wrzesień zagwiący* powstał wtedy właśnie, a nie dopiero w Palestynie. I była to pierwsza literacka reakcja na *Wrzesień* tak bardzo trafna patriotycznie i pedagogicznie: głosiła nie klęskę, ale ofiarność i waleczność polskiego żołnierza! Już w Rumunii! To przecież takie ważne dla charakterystyki aktywności wojennej Wańkowicza. Fragmenty przyszłego *Września zagwiącego* były ogłaszane już wtedy. Dlaczego ani słowa o tak ważnej dla twórczości Wańkowicza książce, jaką jest *Tworzywo*?! Dlaczego brak jakiegokolwiek analizy *Drogi do Urzędowa*? Bez omówienia tych książek nie sposób pisać o Wańkowiczu. Wańkowicz nie był w Stanach Zjednoczonych rok, jak by to wynikało z tekstu, ale parę lat (od 1949 do 1958); państwo Wańkowiczowie pojechali do córki, do Marty, do Tirliporka. Dlaczego nie ma ani słowa o wydarzeniu w życiu Wańkowicza istotnym: o pobycie w Polsce od lipca do listopada 1956 r., w okresie tak ważnym, o jego ówczesnej rozmowie z Cyrankiewiczem? Dlaczego nie zostało zaakcentowane, że Wańkowicz wróciwszy na stałe do kraju, w czerwcu

1958 r., natychmiast zadeklarował poparcie dla Gomułki, wtedy akurat usprawiedliwiającego skazanie Nogy'a?! Opis perypetii ideowych, politycznych i pisarskich Wańkowicza w kraju jest niepełny, jeżeli się dokładnie przeanalizuje sprawy jego procesu sądowego. Pan Habielski milczy o przyczynach aresztowania (współpraca z Wolną Europą) i o okolicznościach związanych ze sprawą sądową. Wańkowicz został skazany i natychmiast, z sali sądowej, po ogłoszeniu wyroku, wypuszczony na wolność. Dlaczego nic o sławetnej rozmowie z Gomułką? I o tym, że owa rozprawa sądowa i wyrok stały się fundamentem nowej, ogromnej popularności czytelniczej i wydawniczej Wańkowicza. A do tego pan Habielski pisze: „odsiadując jakiś czas w więzieniu” — to jest jedyna, cztery słowa, informacja o sprawie sądowej, i do tego faktycznie nieprawdziwa: akurat „w więzieniu” Wańkowicz nie siedział ani godziny! Całe swoje aresztowanie przesiedział w specjalnie urządzonym dla niego pokoju na piętrze gmachu komendy policji, nie opodal Arsenalu. Tam „mieszkał” przed rozprawą, tam go odwiedzał Moczar, i tam przebywał w czasie rozpraw — nigdy w więzieniu. *Karafka La Fontain'a* ukazała się jeszcze za życia pisarza (1972, tom pierwszy). Dokładna data urodzin i śmierci (10 I 1892 — 10 IX 1974) pisarza też by się w tego rodzaju szkicu przydała.

A poza tym — numer „Kwartalnika” pasjonująco ciekawy.